

Opowiadanie

Wróciłam ze szkoły lekko zmęczona i niezwłocznie położyłam się na wygodnym materacu mojego drewnianego łóżka. Ten dzień zdecydowanie się nade mną nie litował. Zresztą jak każdy. W każdym dniu znajdowało się coś, czemu nie byłam w stanie sprostać, coś, co nie dawało mi spokojnie zasnąć, nawet późnym wieczorem. Każdy dzień był dla mnie walką, bijatyką, chociażby z myślami. Każdego dnia udawało mi się przetrwać, ale mimo to czułam, że wciąż przegrywam.

Na szkolnym korytarzu „cześć” mówię jedynie Gabrysi, wszystkich innych mijam bez słowa, spoglądając tylko co jakiś czas w ich szeroko wpatrzone we mnie oczy. Mam wrażenie, że myślą, że jestem jakaś dziwna. Może przesadzam, ale nikt nie czułby się komfortowo czując na sobie wzrok wszystkich uczniów, a jakby tego było mało, to dołączają się do nich również nauczyciele. Idąc zawilumienymi ścieżkami szkolnego labiryntu stale jestem wśród ludzi (a te rzucane na mnie spojrzenia tylko to potwierdzają). Jednak czy nie jestem wśród nich tylko na pozór?

Codziennie spotykam setki osób w szkole, następne setki poza nią. Codziennie widuje nowe twarze na ulicy. Codziennie utwierdzam się, że takich jak ja na świecie są miliony, a może nawet więcej. Takich jak ja... Ale tylko w znikomym stopniu. Każdy jest inny, mimo że z zewnątrz możemy różnić się nieznacznie. Jeden zapytany o to, czy szklanka jest do połowy pełna, czy do połowy pusta odpowie, że pełna, drugi zapytany dokładnie o to samo bez namysłu rzeknie, że pusta. Wszystko zależy od punktu widzenia, od tego, co chce się zobaczyć i na czym skupia się swoją uwagę. I właśnie tym się różnimy, to nas od siebie wyróżnia, a mnie -mam wrażenie- zwłaszcza.

Niby stale jestem w tłumie, w którym powinnam się czuć bezpiecznie, swobodnie, beztrudnie, który powinien być moim „drugim domem” (w końcu spędzam w nim ogromną część mojego życia). Czemu więc tak nie jest? Czemu bez przerwy boję się odezwać? Dlaczego, zamiast cieszyć się z bycia pośród ludzi, wolę ich całkiem unikać? Dlaczego to wszystko jest takie trudne, a wydaje się tak śmiesznie łatwe?

Tamtego dnia (tego, o którym wspomniałam już na samym początku), podczas porannego spaceru z moim ukochanym kundelkiem, spotkałam pewną, niegdyś bardzo ważną dla mnie, osobę. Ujrzenie jej ponownie, sprawiło, że coś we mnie pękło, tak samo jak przed kilkoma laty, podczas naszego rozstania. Pamiętam, że przeżywałam je niezwykle długo, za długo, by móc o nim zapomnieć. Jednak z każdą kolejną dobą bliźna na sercu zdawała się stawać coraz mniej bolesna, coraz mniej głęboka. Przez te pięćdziesiąt trzy miesiące zdążyłam się już nawet do niej przyzwyczaić. Myślałam, że nauczyłam się żyć ze świadomością braku, że nauczyłam się radzić sobie z tęsknotą... Myślałam, że cały ten koszmar się już skończył, a okazywało się, że on dopiero miał się zacząć.

Dziewczyną, która ponownie wyróciła mój świat do góry nogami była Eliza, krucha istotka z długimi blond włosami i olśniewającym uśmiechem, któremu nie było w stanie dorównać nic... Prawie nic, bo mimo iż jej wyraz twarzy podczas śmiechu zwał z nóg, to miała w sobie coś jeszcze piękniejszego - charakter. Potrafiła rozmawiać ze mną jak nikt inny, rozumiała mnie nawet gdy nic nie mówiłam, tylko patrzyłam, znała mnie na wylot, a ja znałam ją lepiej niż ona sama. Była dla mnie jak siostra, tyle że od innej matki, nie omieszkałam się powiedzieć, że kiedyś oddałabym za nią życie... I szczerze mówiąc - nie tylko kiedyś, teraz też.

Niezwykle zabolą mnie jej strata. Przez pierwszy miesiąc po naszej kłótni nie jadłam prawie nic, spałam po maksymalnie trzy godziny na dobę. Nikt nie był w stanie do mnie dotrzeć, nikomu nie po-

zwałałam się do siebie zbliżyć (zarówno fizycznie jak i psychicznie). Odcięłam się od świata i żyłam nadzieją, że jeszcze wszystko się ułoży, tak się jednak nie stało. Jedna kłótnia zniszczyła wszystko to, co budowane było latami, zabrała mi moją bratnią duszę, mojego anioła stróża, odebrała mi coś cenniejszego od największych skarbów świata – bo nawet one nie są nic warte jeśli nie ma się z kim ich dzielić. Odebrała mi przyjaciółkę, która była przy mnie zawsze, gdy tego potrzebowałam. Mocna więź i zaufanie są czymś, na co ciężko pracuje się przez długi czas, są czymś, co wymaga obustronnego zainteresowania. Jednocześnie są czymś tak wyjątkowym, że nie sposób opisać je słowami. Pewność, że jest przy mnie człowiek, na którym zawsze mogę polegać, sprawiała, że się nie bałam, że czułam się bezpiecznie. Bliskość drugiej osoby dawała mi motywację, dodawała sił. Eliza nauczyła mnie wytrwałości, pewności siebie, nauczyła mnie akceptacji zachowań pozostałych ludzi, ale przede wszystkim akceptacji samej siebie. Pomogła mi, kiedy najbardziej tego potrzebowałam.

Nasza przyjaźń trwała sześć lat, a zaczęła się kilka dni po moich dziewiątych urodzinach. W wieku jedenastu lat dowiedziałam się, że jestem ciężko chora. Lekarz stwierdził raka krwi. Natychmiast potrzebny był dawca. Zdawałam sobie sprawę, że na takowego czeka się nawet latami. Mi jednak przytrafiło się niesłychane szczęście. Zaledwie kilka dni po stwierdzeniu białaczki znalazła się osoba gotowa przekazać mi swój szpik. Nie jestem w stanie opisać tego, co wtedy czułam. Strach przeplatał się z radością. Operacja przebiegła bezproblemowo, ja jednak dalej nie wiedziałam kto był dawcą szpiku. Chciałam przynajmniej poznać imię i nazwisko człowieka, który uratował mi życie. Tak też się stało.

Leżałam na szpitalnym łóżku, zupełnie bez sił po operacji. Nagle przed moimi zalepionymi ze zmęczenia oczami ukazał się lekarz. Zapytał mnie, czy dobrze się czuję i czy nic mi nie dolega. Po upewnieniu się, że wszystko u mnie w porządku, powoli wstał z postawionego obok mojego miejsca krzesła, odwrócił się i już zaczął otwierać drzwi, by opuścić salę, powstrzymał go mój cichy krzyk:

- Przepraszam. Panie doktorze, czy mógłby mi Pan zdradzić, kto jest dawcą szpiku?

- Ależ kochanie, rodzice ci nie powiedzieli?- zapytał z wielkim zdziwieniem w oczach

- Nie – odpowiedziałam krótko.

- Ah, no skoro tak... Kobieta, która ofiarowała ci swój szpik nazywa się Magdalena Kowalczyk.

W tym momencie poczułam jak robi mi się słabo. Myślałam, że się przesłyszałam, nie mogłam w to uwierzyć. Imię i nazwisko, które przedstawił mi lekarz należało do mamy Elizy. Byłam zdezorientowana. Ta informacja poruszyła mnie tak bardzo, że pielęgniarka musiała wstrzyknąć mi jakąś silną substancję uspokajającą, która sprawiła, że usnęłam.

Obudziłam się po około dwóch godzinach. Przy moim łóżku siedziała osoba, którą najbardziej chciałam wtedy zobaczyć, była to moja przyjaciółka. Nie czekając ani chwili, zapytałam się, czy zna tożsamość mojej wybawicielki. Eliza uśmiechnęła się delikatnie i nieśmiało spuszczając głowę w dół przytaknęła.

- Ta kobieta nazywa się Magdalena Kowalczyk i jest moją mamą – odpowiedziała po chwili.

- Ale jak to?! Jak to się stało? – zapytałam zaskoczona i zaciekawiona.

- Widzisz, moja mama od razu po tym jak dowiedziała się, że chorujesz, pojechała do szpitala, aby wykonać badania – zaczęła mówić, a na jej twarzy pojawiał się coraz szerszy uśmiech. – Okazało się, że może zostać dawcą. Nie musiałam jej do tego namawiać, sama chciała. Lubi cię i wie, że nie porażę się bez ciebie- dokończyła już ze łzami w oczach.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Nie wyobrażałam sobie nigdy, że ktoś będzie w stanie uczynić dla mnie taki gest. Uznałam, że czyny są lepsze niż słowa i bez dłuższego namysłu podniosłam się z matracą, po ty by chwilę później wisieć już na szyi mojej kochanej przyjaciółki. W tym momencie do pomieszczenia weszła Pani Magda,. Kiedy ją spostrzegłam, w moich oczach pojawiły się łzy, nie umiałam ich powstrzymać. Rozplotłam ułożone na barkach Elizy - w geście objęcia - ręce i podbiegłam do jej mamy, dziękując jej ledwo już słyszalnym od płaczu głosem.

Myślę, że teraz każdy już wie jak bardzo oddane i wdzięczne, a zarazem bliskie, byliśmy sobie z Elizą. Taka relacja nie zdarza się często i nie da się jej podrobić. Marna, udawana kopia nigdy nie dorówna prawdziwej, szczerzej przyjaźni. Człowiek uzależnia się od człowieka i to normalne. Uczy się go, aż w końcu zna go na pamięć, niemalże idealnie. To wszystko zdaje się być takie piękne, magiczne i nienaganne. Jest jednak pewne ryzyko- ryzyko straty. Zawsze jest możliwość, że nadejdzie dzień, w którym musisz być gotowy na utratę, na odejście, na samotność. Niebezpiecznie jest ufać ludziom, niebezpiecznie jest ufać czemukolwiek. Jednak równie niebezpiecznie jest nie ufać nikomu. Wróć do postawionych wcześniej pytań... „Czemu bez przerwy boję się odezwać?” Boję się znowu przywiązać do kogoś za mocno. Boję się, że poznam kogoś, kto przejrzy mnie na wylot, kto pozwoli mi znowu uwierzyć, kto przekona mnie że zostanie na zawsze. Nie chcę tego, a jednocześnie jest to moim największym marzeniem- mieć osobę, z którą mogę dzielić się wszystkim, która zawsze odbierze telefon, która po prostu będzie. „ Dłaczego, zamiast cieszyć się z bycia pośród ludzi, wolę ich całkiem unikać?” To ciężkie, ale chyba jeszcze nie pogodziłam się do końca z tym, że coś, co miało być „na zawsze”, dobiegło końca. Patrząc na grupki roześmianych nastolatków niełatwo jest zapomnieć. Jednak jeszcze gorzej jest, gdy idąc ulicą mijam szczęśliwych ze sobą staruszków. Zdaję sobie wtedy sprawę jak ogromny dar otrzymali, miłość po sam grób, wsparcie aż do końca życia, a to wszystko za sprawą zaufania, zrozumienia, kompromisów i czasu, który tak nieubłaganie szybko ucieka nam przez palce. Cieszę się ich szczęściem, ale widząc je przypominam sobie, że wszystko to, co oni mają- ja straciłam. „Czy będąc w tłumie, naprawdę jestem wśród ludzi?” Jestem, ale fizycznie. Psychicznie często mnie tam nie ma, odbiegam myślami do marzeń, do wspomnień, do ideałów. Człowiek człowiekowi nierówny, a ja „ szukam świata, w którym „człowiek człowiekowi człowiekiem”.

Odkąd nie rozmawiam z Elizą stałam się inną osobą. Każda sytuacja w życiu czegoś uczy, ta nauczyła mnie wierności, poświęcenia, czerpania radości z życia, a dalej uczy mnie zrozumienia tego, że życie jest nieprzewidywalne, dalej uczy mnie pogodzenia się z porażką, uczy, że nic nie jest wieczne, ale wszystko może być piękne- jeśli tylko zrobię co mogę, by patrzeć na to jak na coś pięknego. Wszystko zależy od naszego nastawienia, od naszego punktu widzenia. Jedne rzeczy wymagają więcej czasu niż drugie. Ważne, by wierzyć, że szczęście istnieje, by mimo niepowodzeń w końcu się podnieść i walczyć dalej... Bo wygrać z samym sobą to już połowa sukcesu - i tego się trzymam.